

Kira Gałczyńska

Natalia i dom w twórczości K.I.G.

„Kiedyś w majowy ranek Marychna poznała mnie w <Ziemiańskiej> ze swoim przyjacielem, Lucjanem Szenwaldem. Właśnie wtedy przyszedł Gałczyński. Zobaczyłam rozczochrane czarne włosy i oczy bardzo duże, zielone, mrużące się jak u kota. Pamiętam, że Szenwald przywitał się z nim między stolikami, przez chwilę o czymś mówili. Potem nagle Gałczyński podszedł i zamiast powitania zapytał: - Co słyhać na Kaukazie, panno Nato?. Zdziwiłam się: skąd wie o moim pochodzeniu? A po chwili rozkazał: - Niech pani wstanie!. I od razu wstałam, ale po chwili burknęłam ze złością: - Głupie pomysły. Na co to panu? Patrzył na mnie bez przerwy. Zapytałam: - Dlaczego pan mi się tak przygląda? Odpowiedział: - Bo ma pani taka małą twarz i takie duże oczy. A białka niebieskie jak z emalii. Oczywiście byłam zachwycona. Pierwszy raz zwrócił na mnie uwagę dorosły mężczyzna, a nie zakochany sztubak. Zdaje się, że po tych słowach nagle pożegnał się i wyszedł. Potem tak często mi opowiadał, że zobaczył mnie w tej <Ziemiańskiej> nagle i od razu. Że pytał o mnie Szenwalda. I że zakochał się właśnie w tej chwili, kiedy na jego żądanie stanęłam wyprostowana jak żołnierz. Jednym z czułych przezwisk w przyszłości staną się słowa: RYCERZYK. ŻOLNIERZYK...”

W taki sposób zanotowałam opowieść Natalii o jej pierwszym spotkaniu z Konstantym Ildefonsem. Miało to miejsce 3 maja 1929 roku. Po kilku dniach ją odnalazł w pokoju na Koszykowej, wynajmowanym wspólnie z kaliską koleżanką, Marychną. To wtedy zobaczyła jego zielone oczy, to wtedy pierwszy raz nazwała go Kotem. Poszli do Łazienek i już nie mogli się rozstać. Kot śpiewał jakąś piosenkę o mandarynie, pili kwaśne mleko w <Nadwiślańskiej> na placu Teatralnym.

Wieczór zastał ich na moście Poniatowskiego; chodzili po ulicach Powiśla pod gazowymi latarniami. Poprosiła, żeby powiedział swój ulubiony wiersz. Powiedział <Ulicę szarlatanów>. A potem pod mostem, nad samą Wisłą, pomogła mu zepchnąć jakąś starą deskę i usiedli na niej, tuż przy wodzie. Potem, w następnych latach Konstanty często powtarzał, że całe ich wspólne życie zaczęło się właśnie od tej deski...

Na ile było to ważne wydarzenie w całym krótkim życiu mojego ojca, najlepiej świadczy dedykacja napisana zielonym atramentem w roku 1951 na tomiku *Niobe* :

Natalii:
która jest nocą majową,
Wisłą,
mostem
i księżycem
Na pamiątkę nocy majowych,
Wisły,
Mostu,
Deski
I księżycu (w roku 1929 —)
od autora w czarnym kapeluszu

Po kilku dniach podarował jej swój pierwszy wiersz. Był to *Portret panny Noel*. Wręczając rękopis powiedział: - Będę przez całe życie pisał jeden długi miłosny cykl — wiersze dla Natalii. Może twoje imię będzie kiedyś znane. I zaraz dodał: - Ale chyba nie uważasz mnie za megalomana?...

1 czerwca następnego roku w cerkwi na Pradze odbył się ich ślub. Przyjechali do cerkwi tramwajem, panna młoda nie miała ani ślubnej sukni, ani welonu, ani druhen i orszaku, ani gości, a jej wiązankę stanowił kupiony przed cerkwią bukiet kilkudziesięciu liliowych irysów. Drużbowali Stanisław Dziadzia Saliński i Stanisław Ryszard Dobrowolski... Ale za to cerkiewne dzwony były jak na Wielkanoc... To **był** czarodziejski ślub, drugi taki nie mógł się zdarzyć na świecie. Dowodem jest przecież wiersz *Ballada ślubna I* kończąca się słowami:

A może rzeczywiście wszystko się nam przyśniło:
stangret, karetą, wieczór, mój frak i twój tren,
i nasze życie twarde i słodkie jak sen.
Nie byłoby małżeństwa, gdyby nie nasza miłość.

A potem przyszło codzienne życie, w niczym także nie
przypominające losów innych młodych domów, małżeństw,
rodzin....

Rodzinny dom Konstantego Ildefonsa zbudowali mało
zaprzyjaźnieni ze sobą ludzie. Ich związku nie cementowało
żadne głębsze uczucie, zrozumienie, oczarowanie, choćby
chwilowe. Konstanty Gałczyński był technikiem kolejowym z
dziesięcioletnim już stażem i powoli piął się po rosyjskiej
drabinie urzędniczej, absolwentem prestiżowej co prawda
Szkoły Technicznej Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej,
ale warszawiakiem — zaledwie od kilkunastu lat. Urodzony,
jak wszyscy niemal Gałczyńscy w maleńkich wioskach na
ziemi Kujawsko-Dobrzyńskiej, był synem i wnukiem
wyrobników wiejskich czyli najzwyczajniejszych chłopów „do
wszystkiego”, *kopciźniaczy*, którzy za swoją pracę na folwarku,
„u pana” otrzymywali *kopczyznę*, czyli jedną sześćdziesiątą
część zebranych plonów. Była to, jak wiadomo, jedna z form
wynagradzania pańszczyźnianych chłopów.

Dziad poety, Marian, przywędrował do Szpetala (dziś dzielnica
Włocławka, wówczas podwłocławska osada) z maleńkiej wsi
Chudzewo i tu ożenił się z panną Józefą Wiweger, córką
piwowara.. Pamiętajmy, że był to region piwny, z którego
wywodzi się znany browar Haberbusch i Shiele. Marian
Gałczyński więc *wzenił się* po prostu w zamożną rodzinę ze
starymi piwnymi tradycjami. Zrozumiałe, że matka
Konstantego zapragnęła dla swego jedyne go syna odmiany losu
(córka Janina, urodzona w rok po bracie, żyła zaledwie rok).
Tak narodził się pomysł szkoły kolejowej i przeprowadzka do
Warszawy u schyłku lat 80-tych XIX wieku.

Konstanty Gałczyński powtórzył manewr swego ojca: wynalazł
w zamożnej rodzinie mieszczańskiej pannę Wandę Cecylię

Łopuszyńską, córkę znanego stołecznego stolarza. Franciszek i Marianna Amelia z Kompińskich brali ślub w warszawskiej Katedrze, zamieszkali na Nowym Mieście. Wiadomo, że Marianna Amelia (proszę zwrócić uwagę, że w rodzinie matki poety panowała moda na dwa imiona!) wniosła w posagu kilka nieruchomości — place i kamienice, a przede wszystkim popularną jadłodajnię z wyszynkiem na Mazowieckiej, prowadzoną przez Bartłomieja Wróbla. Kiedy Wanda Cecylia wychodziła za mąż za Konstantego Gałczyńskiego, restauracje (było ich już kilka) zostały sprzedane. Ale sytuacja finansowa młodego małżeństwa była więcej niż dobra: zamieszkali w przestronnym mieszkaniu na eleganckiej Mazowieckiej, panią Wandę Cecylię we wszystkich pracach domowych wyręczała służba; swój czas poświęcała w całości mającemu się urodzić dziecku, okazjonalnym pilnowaniem zajęć męża, przyjmowaniem gości. Ale nagle, w kilka miesięcy po przyjściu na świat Konstantego Ildefonsa, sytuacja materialna rodziny Gałczyńskich zaczęła się radykalnie zmieniać. Najpierw zwolniono służbę, ograniczano wydatki domowe aż wreszcie nadszedł czas opuszczenia eleganckiej Mazowieckiej, kilkakrotne przeprowadzki do innych, coraz bardziej oddalonych od centrum mieszkań — przez ulicę Hortensji, czy daleką Chmielną — aż na Towarową 54, do domu, który był własnością babki poety, Marianny Amelii. Mieszkanie na I piętrze, opatrzone numerem 4, było także przestronne, ale dzielnica — brudna, biedna, zamieszkała głównie przez robotników.

Przedstawiam owo tło ekonomiczne dość szeroko, aby powiedzieć, że właśnie ono, z braku mocniejszych więzi emocjonalnych pomiędzy małżonkami, coraz częściej doprowadzało do domowych niesnasek, awantur, częstego znikania papy Gałczyńskiego wieczorami, po pracy; a w pustym mieszkaniu pozostawała samotna młoda żona już z dwójką dzieci, za to bez służby czy jakiegokolwiek pomocy ze strony męża. Gorzkniała, brzydła, zamykała się w sobie...

Dwaj chłopcy — Konstanty Ildefons i Mieczysław Zenon — rośli więc w domu smutnym, pozbawionym pogody, ciepła,

rodzicielskiej miłości, wspólnych zabaw, spacerów, wyjść w miasto, za to przepelnionym awanturami, łzami matki, coraz wyraźniej dającej o sobie znać wrogości między dorosłymi. Musieli sobie wystarczać sami. Rolę opiekuna i wychowawcy

Mietka przejął na siebie starszy zaledwie o 11 miesięcy Kostek: to on czytał mu bajki, on je wymyślał i opowiadał, on kształtował jego zainteresowania, on podsuwał książki, on wreszcie zabierał braciszka na spacer po niedalekim Kercelaku, na jakieś ślizgawki czy inne zabawy zimowe. Nie mieli ani nart, ani łyżew, ani sanek, jedynie nadmiar śniegu i własną pomysłowość. Bawili się jak wszystkie dzieci na Towarowej...

Mietek do końca swego niedługiego życia był pod czułą i niezmiernie troskliwą opieką swego starszego brata, doświadczał i odwzajemniał miłość, której obaj chłopcy ze strony swych najbliższych byli pozbawieni. I młodszy, uwielbiając brata, coraz lepiej rozumiejąc jego inność, brak podobieństwa do kogokolwiek z rówieśników, odwzajemniał miłość brata oddaniem, przyjaźnią, a ponadto niekłamanym podziwem dla fantazji, pomysłowości i dzielności Kostka. Ich kolega z moskiewskiej szkoły, Jan Hoppe powie po latach, że Mietek żył w cieniu Kostka. Naśladował zawsze jego sposób mówienia i operował tym samym ironicznym spojrzeniem...

Ci dwaj chłopcy, na jednej z pożółkłych fotografii trzymający się mocno za ręce, stanowili właściwie jedność, doskonale opanowali sztukę całkowitego wystarczania sobie, uzupełniania się, wzajemnego czuwania nad sobą...

Śmierć Mietka stała się pierwszą wielką tragedią w życiu szesnastoletniego Kostka. Po latach, w kilkunastozdaniowym *Krótkim życiorysie* dla tamtego zdarzenia znajduje słowa: *Po powrocie do kraju, kończę szkołę Giżyckiego. Umiera mój brat Mieczysław. Jest to ciężki wypadek w moim życiu.*

Jako poeta będzie umiał powrócić do tamtego wydarzenia dopiero po 7 latach, w przejmującym wierszu *Śmierć braciszka*:

A gdy się wszystko skończyło,
doktor krzyknął: „Boże, to już trzecia godzina!”
Skonał braciszek, skonał, skonał, skonał.
Zostało po nim serce z kory i okaryna
stłuczona.

Mietek zapadł na dość powszechną chorobę wieku dziecięcego — szkarlatynę. Na ogół mali chorzy z niej wychodzą. Tylko tu, na Towarowej, finał **musiał być** inny! O śmierć Mietka Kostek obwiniął ojca: zamiast czuwać przy chorym, w porę podawać lekarstwa (robili to na zmianę z matką), zniknął gdzieś w knajpie. Tej bezsensownej śmierci nigdy nie wybaczył swemu ojcu. I stosunki między nimi z chłodnych, obojętnych — ale na miarę mieszczańskiej rodziny poprawnych — stały się wręcz wrogie. W roku 1924 papa Gałczyński definitywnie opuścił mieszkanie na Towarowej. Zmarł w trzy lata później.

Moja matka, często opowiadając o dzieciństwie K.I.G., zawsze jednakowo zadziwiona, powtarzała pytanie: skąd po wielu pokoleniach ludzi najzwyczajniej przeciętnych, nijakich, pozbawionych wykształcenia, umiejętności nawiązywania najprostszych stosunków z partnerami życiowymi, jak w takiej rodzinie (zarówno po mieczu jak i po kądzieli), nie wiadomo na dobre skąd, pojawił ktoś o tak fascynującej osobowości, kulturze, wyrafinowanym smaku, niecodziennych zamiłowaniach, niepospolitym, wszechstronnym talencie? Skąd na przekór wielowiekowej tradycji pokoleniowej wziął się ten człowiek z taką wrażliwością, czułością dla bliskich, dla świata?... Poznała ten dom, jego wnętrza, poznała matkę poety. Na nurtujące ją pytania nie znalazła nigdy odpowiedzi.

Natalia rosła i dojrzewała w skrajnie innych warunkach, otoczona miłością, troską. Ojca, który pojechał walczyć na wojnie i przepadł w chaosie rewolucji, zastępował starszy brat; miłość i serdeczne ciepło cechujące stosunki z matką, ciotkami budowały charakter dziewczyny otwartej, wrażliwej, inteligentnej, a tęsknota za ojcem pobudzała jej fantazję w

poznawaniu dalekiego i pięknego kraju, z którego pochodził. To wszystko sprzyjało lekturom, zabawom w teatr, własnym wyprawom na księżyc. Natalia przez swoje szkolne koleżanki także była postrzegana jako inna, niemal od dziecka tkwiąca w poetyckich światach, nieco zamknięta, często zamyślona i nieobecna. Słowem — osobna. Ale przy tym wszystkim, gdy trzeba, zaradna, umiejąca konkretnie myśleć i działać.

I oto krótko po zdaniu matury, po przyjeździe do Warszawy, po zapisaniu się na romanistykę i znalezieniu pracy w „Czerwoniaku”, przez najzupełniejszy przypadek poznaje rozczochranego młodego człowieka o zielonych mrużących się oczach, autora jedyne dotychczas przeczytanego w „Kwadrydze” przez nią wiersza *ZOO*. Nagle na nich oboje spada to samo wielkie uczucie, przekonanie o konieczności dzielenia ze sobą całego przeszłego życia...

Zrozumiałe, że niemal następnego dnia po ślubie, Konstanty wiedząc, a może intuicyjnie przeczuwając, czym może być **prawdziwy** dom zbudowany, stworzony od podstaw przez dwoje kochających i rozumiejących się ludzi, konsekwentnie i systematycznie taki dom zaczął budować, mając za partnerkę dziewczynę o imieniu Natalia. I rzecz jasna, nie chodzi mi o mury, ściany, meble i obrazy, ale o to, co stanowi niepowtarzalność atmosfery opartej na harmonii, porozumieniu, miłości, przyjaźni i zaufaniu obojga budowniczych. U Gałczyńskich zawsze (może poza okresem berlińskim) bywało biednie, zawsze brakowało grosza. Może właśnie dlatego umieli z taką łatwością lecieć na księżyc, przenosić się na wyspy szczęśliwe, jadać wieczerzę złożoną z dzbanuszka z konwalia w towarzystwie skrzata z halabardą...

Już po pierwszych tygodniach wspólnego życia, młoda i pozornie niedoświadczona żona zrozumiała swoją niełatwą rolę: kochanki i muzy, opiekunki i pielęgniarce, krytyka i surowego czytelnika, mocnej i niezawodnej podpory w chwilach zwątpienia i psychicznych rozterek, organizatorki codzienności, o której jej nieco księżycowy mąż nie miał zielonego pojęcia. A

do tego zawsze pięknej, zawsze gotowej do owej niezbędnej Gałczyńskiemu szczypty szaleństwa. Nie jest to ani proste, ani łatwe dla żadnej kobiety, zwłaszcza tak młodej, tak niedoświadczonej jak Natalia. Jednak niemal natychmiast zrozumiała czego oczekuje od niej jej partner, więcej — zaaprobowała jego nigdy nie wypowiedziane marzenia.

Całe ich 23-letnie współzycie (odliczając sześć lat wojny, stalagów i poobozowych wędrówek poety) przekonuje, że gdyby nie takie partnerstwo Natalii, twórczość K.I.G. poszłaby innym zupełnie torem. Jakim? Nie wiem i nie interesuje mnie to zupełnie. Ważne jest, co powstało, co pozostało do naszych dni, co jest żywe, co nadal wzrusza, bawi, zachwyca.

Wiem natomiast, że pewien poeta, autor rozmaitych traktatów, dając w swym paszkwilanckim eseju portret Natalii, także skłamał go całkowicie. Ale było mu to potrzebne do takiego a nie innego nakreślenia portretu poety—trubadura. Pisał: *Żona (...) miała orientalny typ urody; z lekka garbaty, wydatny nos, czarne oczy; lubiła nosić na pięknych rękach błyszczące bransolety. Pochodziła z rodziny gruzińskich emigrantów; Była bierna i samicza, ale nie pozbawiona zmysłu do interesów i daru trzymania męża w ręku.* Zapewniam, że co słowo — to celowo zamierzona nieprawda.

Budowali swój dom systematycznie, z dnia na dzień. Niepowtarzalną atmosferę ich domostwa znajdziemy w dziesiątkach jeśli nie w setkach wierszy K.I.G. A kto wie, czy nie w całej jego twórczości.

**Tutaj mój port, tu słońce mam na czole
i dom, i sad, i kota — nie do wiary!
Natalia na werandzie. Kira w szkole.
A babci wchodzą sny pod okulary.**

To kwintesencja Arkadii domowej Gałczyńskiego: żona, córka babcia, kot, pies. I czarowna harmonijna pogoda panująca w

tych wersach. Jak w tylu poprzednich, w których fantazja przeplata się ze światem realnym. W pierwszym prawdziwym domu w Aninie są i cynowe talerze przy kominku, i taras z werandą, na której tak cudownie się milczy z najdroższą kobietą, i ogród, i noc księżycowa, i mrowie lamp bijących w okna, w sad, w mrok, i najdoskonalsza herbata świata, i księgi oprawne w skórę, i świece w lichtarzach, i baldachimy. I jeszcze taniec nocy czerwcowej, gubiącej szafiry i szmaragdy. I małe gacki przelatujące przez nocny ogród... I już nie wiesz, co jest prawdą, światem realnym, co fantazją poety, co marzeniem, które dopiero kiedyś się ziści... Bo przecież trzeba jeszcze pamiętać o owych krzesłach z czarnego drzewa, o kołyskach, o sowach, cieniach i rozmaitych złożonych sprzętach, i śpiewającej klatce z papugami, i wysokich świecach szkarłatnych, i domu w dzikim winie, i pompie na podwórzu, do której także czasami przychodzi pan Chopin. I o glinianym gołębiu, i rajtarze XVII-wiecznym na koniu z XV wieku. I o lotach ptasich, o stole niewytwornym, którego nie zamieni na największe skarby świata, i wreszcie o lokach, które mrok barwi na modro...I o chmurności oczu, i smaku ust gorzkim jak morwa... Powtórzmy: tego wszystkiego by nie było, gdyby nie miłość.

Napisał: *bo ty jesteś śpiewająca ścieżka, krzyk ostatni i zachwyty śmiertelny*. Nazywał ją setką imion: Natą, Natałką, Natusią, Natulą; Pawełkiem i Bociankiem; madonną i mużką; latarnią zaczarowanej drożki; panią Venus i egipską królową; wodą w lata skwarze i rękawicą w zimie; pieśnią weselną jego drogi; Thalią najukochańszą; Gwiazdą Przewodnią wreszcie.

Gałczyński jak mało który z poetów potrafił patrzeć w przyszłość. W roku 1939 w *Modlitwie za pomyślny wybór papieża* powtórzył za Słowackim myśl o papieżu—Polaku; zapytany w hitlerowskiej niewoli w roku 1943 o to, co będzie robił po wojnie, bez chwili wahania odpowiedział: *Zamieszkać w polskim Szczecinie*. A w wierszu *Ojczyznę moją jest muzyka* przewidział los swojej Natalii:

Słuchaj, Saskia, cokolwiek się stanie,
złotą chmurą zostaniesz w legendzie.
Bo wypisane jest ogniem na ścianie:
już cię nikt tak jak ja kochać nie będzie.

Sięgnij po nieśmiertelność, Saskia, tak jak się sięga po szmaragd,
gitare, wstążkę lub jabłko, wysokie, rumiane ogromnie.
Gitara, jabłko przeminą. Jak komar brzęczy gitara.
Lecz ja to w księgę zamykam. Saskia, uśmiechnij się do mnie.

